

3 września

Muszę odjechać! Dzięki ci, Wilhelmie, żeś mnie utwierdził w tym chwiejnym zamiarze. Już dwa tygodnie noszę się z myślą, by ją opuścić. Muszę. Jest znowu w mieście u jednej z przyjaciółek. i Albert — i — muszę odjechać!

10 września¹

Cóż to była za noc, Wilhelmie! Teraz przetrwam wszystko. Nie zobaczę jej już! O, że nie mogę rzucić ci się na szyję, wyrazić ci tysiącem łez i zachwyków, mój najdroższy, wszystkich uczuć, które przenikają me serce! Siedzę i z trudem chwytam oddech, staram się uspokoić i oczekuję ranka, a na wschód słońca zamówione są konie.

Ach, ona śpi spokojnie i nie przeczuwa, że nie ujrzy mnie już nigdy. Wyrwałem się; byłem dość silny, by w dwugodzinnej rozmowie nie zdradzić mego zamiaru. Ach, Boże, co za rozmowa!

Albert przyrzekł mi, że zaraz po wieczery będzie z Lotą w ogrodzie. Stałem na tarasie pod kasztanami i patrzyłem na słońce, które dla mnie po raz ostatni zachodziło nad miłą doliną, nad łagodną rzeką. Tak często stałem tu z nią, by patrzeć na to samo wspaniałe widowisko, i oto... Chodziłem tam i z powrotem po alei, która mi była tak droga; czułem do tego miejsca tajemny pociąg, nim jeszcze poznałem Lotę i cieszyliśmy się, gdyśmy z początkiem naszej znajomości odkryli obopólną skłonność do tego zakątka, który zaiste jest jednym z najbardziej romantycznych wytworów sztuki ogrodniczej, jakie widziałem.

Przede wszystkim między kasztanami masz rozległy widok. Ach, przypominam sobie, pisałem ci, zda mi się, już wiele o tym, jak wysokie ściany bukowe zamykają w sobie wreszcie człowieka i aleja, łącząc się z przyległym zagajnikiem, staje się coraz posępniejsza, aż ostatecznie kończy się zamkniętą polanką, nad którą zda się unosić samotność i pustka. Pamiętam jeszcze, jak przytulnie mi było, gdym po raz pierwszy w samo południe tam wstąpił: przeczuwałem niejasno, jaką to miejsce stać się jeszcze miało widownią szczęścia i bólu.

Poilem się koło pół godziny tymi tęsknymi, słodkimi wspomnieniami rozstawania i widzenia się znowu, gdym usłyszał, że oni wchodzi na taras. Pobiegnę na ich spotkanie, z dreszczem ująłem jej rękę i ucałowałem. Stanęliśmy właśnie na górze, gdy księżyc wschodził za krzewiastym wzgórzem. Mówiliśmy o tym i owym i doszliśmy niepostrzeżenie do posępnej altany. Lota weszła i siadła, Albert obok niej, ja również; jednak niepokój mój nie pozwolił mi długo siedzieć; wstałem, stanąłem przed nią, przeszedłem się tam i z powrotem, siadłem znowu, byłem niespokojny. Ona zwróciła naszą uwagę na piękny efekt światła księżycowego, które na skraju ścian bukowych oświetlało przed nami cały taras: widok wspaniały, tym bardziej uderzający, że wokół otaczała nas głęboka ciemność. Milczeliśmy; ona zaczęła po chwili: — Nie zdarzyło mi się przechadzać w świetle księżyca, abym nie pomyślała o mych zmarłych, by nie naszły mnie myśli o śmierci, o przyszłości. Będziemy istnieć — ciągnęła głosem pełnym wspaniałego uczucia — ale, Werterze, czy się znajdziemy znowu? Czy się poznamy? Co pan myśli? Co pan powie?

— Loto — rzekłem, podając jej rękę i oczy zaszyły mi łzami — zobaczymy się znowu! Zobaczymy się tu i tam znowu! — Nie mogłem mówić dalej. — Wilhelmie, musiałab mnie o to pytać, gdym to trwożne pożegnanie miał w sercu?

¹ 10 września – autobiograficzna reminiscencja, gdyż w tym dniu Goethe rozstał się z Charlotte Buff.

— i czy drodzy zmarli wiedzą o nas — ciągnęła — czy czują, gdy nam się dobrze dzieje, że z gorącą miłością ich wspominamy? O, postać mej matki unosi się zawsze koło mnie, gdy w cichy wieczór siedzę wśród jej dzieci, wśród moich dzieci, a one gromadzą się wkoło mnie, jak gromadziły się wkoło niej. Gdy tak z tęskną łzą patrzę ku niebu i pragnę, by mogła spojrzeć na chwilę, jak dotrzymuję słowa, które dałam w godzinę jej śmierci, że będę matką jej dzieci, stokrotnie wołam: Wybacz mi, najdroższa, jeśli nie jestem dla nich tym, czym ty byłaś! Ach, czynię przecie wszystko, co mogę; są przecie odziane, nakarmione, ach, i co więcej znaczy niż to wszystko, pielęgnowane i kochane. Gdybyś mogła widzieć naszą zgodę, droga, święta, najgorętszą podzięką słałabyś Boga, którego ostatnimi, przegorzkiemi łzami prosiłaś o pomyślność dla swych dzieci.

To powiedziała! O Wilhelmie, któż może powtórzyć, co mówiła! Jakże może zimna, martwa litera oddać niebiańską świeżość jej ducha! Albert przerwał jej łagodnie: — To cię zbyt przejmuje, droga Loto! Wiem, dusza twoja Ignie do tych myśli, lecz proszę... — O Albercie — rzekła — wiem, że nie zapomnisz nigdy wieczorów, kiedy siedzieliśmy razem u małego okrągłego stolika, gdy papa wyjechał, a dzieci ułożyliśmy do snu. Często miałeś dobrą książkę, a jednak tak rzadko mogłeś wziąć się do czytania. Czyż obcowanie z tą wspaniałą duszą nie znaczyło więcej niż wszystko inne? Ta piękna, łagodna, żywa i zawsze czynna kobieta! Bóg zna moje łzy, wśród których często padałam przed Nim w łóżku na kolana, by mnie uczynił jej podobną.

— Loto! — zawołałem klękając przed nią, ujmując jej ręce i zlewając je tysiącem łez. — Loto, błogosławieństwo boże czuwa nad tobą i duch twojej matki! — Gdyby pan był ją znał! — rzekła, ściskając mą rękę. — Była warta, byś ją pan znał. — Zdawało mi się, że mdleję; nigdy nie powiedziano o mnie nic większego i szacowniejszego. A ona ciągnęła: — i ta kobieta musiała odejść w kwiecie wieku, gdy najmłodszy jej syn nie miał sześciu miesięcy. Choroba jej nie trwała długo; była spokojna, zrezygnowana, żal jej było tylko dzieci, zwłaszcza najmniejszego. Gdy koniec jej się zbliżał i gdy mi rzekła: — Przyrowadź je — a ja je wprowadziłam, małe, które nic nie wiedziały, i najstarsze, które odchodziły od zmysłów — one stały obok łóżka, a ona podniosła ręce i modliła się nad nimi, i całowała je po kolei, i odesłała je, i rzekła do mnie: — Bądź im matką! — Dałam jej słowo na to! — Obiecujesz, córko moja, wiele — rzekła. — Serce matki i oko matki! Widziałam często po twych pełnych wdzięczności łzach, że czujesz, co to znaczy. Miej dla swego rodzeństwa i swego ojca wierność i posłuszeństwo kobiety. Pocieszysz go. — Pytała o niego, bo wyszedł, by ukryć przed nami zgryzotę, troskę nad siłą, która go wypełniała. Ten człowiek był całkiem złamany.

— Albercie, byłeś w pokoju! Słyszała, że ktoś chodzi obok, spytała i wezwała cię do siebie. i jak patrzyła na ciebie i na mnie spokojnym okiem, znajdując pociechę w tym, że będziemy szczęśliwi, szczęśliwi razem! — Albert rzucił się jej na szyję, całował ją i wołał: — Jesteśmy szczęśliwi, będziemy szczęśliwi! — Spokojny Albert był zgoła nieprzytomny, a ja nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

— Werterze — zaczęła — i ta kobieta miałaby zniknąć! Boże, gdy czasem pomyślę, jak pozwalamy sobie zabrać to, co mamy najdroższego w życiu, i nikt nie czuje tego tak silnie jak dzieci, które długo jeszcze się skarżyły: Czarni ludzie wynieśli mamę!

Wstała, a ja wyrwany z zamyślenia i wstrząśnięty, zostałem na miejscu i trzymałem jej rękę. — Chodźmy — rzekła — już czas. — Chciała cofnąć swą rękę, a ja ująłem ją jeszcze silniej! — Zobaczmy się znów — zawołałem — odnajdziemy się znów, rozpoznamy się pod wszystkimi postaciami. Odchodzę — ciągnęłam — odchodzę chętnie, a jednak, gdybym miał rzec: na wieki, nie zniósłbym tego. Bądź zdrowa, Loto! Bądź zdrow, Albercie! Zobaczmy się znowu. — Jutro, sądzę — odrzekła żartobliwie. Czułem to jutro! Ach., nic nie widziała, cofając rękę swą z mojej. Wyszli aleją; stałem, patrzyłem za nimi w świetle księżyca, rzuciłem się na ziemię i wyplakałem się, zerwałem się, pobiegłem na taras i zobaczyłem jeszcze w dole, w cieniu wysokich lip, jej białą suknię lśniąca u drzwi ogrodowych; wyciągnęłam ramiona i znikła.